

Trzy wystawy w Sopocie. Sierpień 2011

Andrzej Jajszczyk

Trzy letnie, trwające równolegle, wystawy w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie różni praktycznie wszystko — czas powstania prac, zastosowana estetyka, użyte media, a nawet narodowość twórców. Najbardziej nagłośniona w środkach masowego przekazu jest ekspozycja prac Georgesa Braque'a pod wspólnym tytułem „Metamorfozy”.

Trusz

My jednak rozpoczynamy od wystawy pod nieco pretensjonalnym tytułem „Słoneczne akordy w palecie Iwana Trusza”. Autor prac, absolwent krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, większość życia spędził we Lwowie, nie tylko malując, ale też czynnie uczestnicząc w ukraińskim, a także polskim, ruchu kulturalnym. Tak naprawdę to malarz *galicyjski*, w sensie jaki opisuje Norman Davies w swoich „Zaginionych królestwach”. Jakkolwiek bardziej pociąga mnie sztuka współczesna, od czasu do czasu z przyjemnością oglądam „ładne obrazki”. Prace Trusza niewątpliwie do takich należą.

Był malarzem wszechstronnym — malował krajobrazy, sceny rodzajowe, a także całkiem interesujące portrety. W wielu jego obrazach widać wpływ znakomitych nauczycieli z Krakowa — Leona Wyczółkowskiego i Jana Stanisławskiego. Podobnie jak ten ostatni namalował sporo małych olejnych widoków kopulastych cerkwi, czy majestatycznego Dniepru, ustępując w nich jednak moim zdaniem swojemu mistrzowi. Lepiej wypadają w dużym formacie, przy czym niektóre jego pastelowe krajobrazy przypominały mi w nastroju „Topole nad wodą”, jeden z nielicznych większych obrazów Stanisławskiego. Pięknie malował kwiaty. W pracy „W ogrodzie” Trusza dominują nastroje mehofferowskie, a cykl obrazów z motywami huculskimi — przypomina obrazy, o tej samej tematyce, profesora krakowskiej ASP Fryderyka Pautscha. Trzeba jednak przyznać, że prace Pautscha są bardziej ekspresyjne, co niekoniecznie stanowi ich przewagę. Gdy oglądam cykl prac ukraińskiego artysty powstały w Egipcie, nasuwa mi się kolejna analogia — tym razem z obrazami Adama Styki, z tym że prace tego ostatniego przekraczają dla mnie granicę kiczu.

Dwa obrazy zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Pierwszy to „Klasztor Św. Wojciecha. Lwów” z cyklu „Krajobrazy Galicji”. Szarogranatowe niebo nad ciemnozielonym masywem wzgórza, na którym widać białe ściany klasztoru. Obraz oszczędny w środkach, wręcz wchodzący w kubizm, a nawet abstrakcję; mocno różniący się od pozostałych prac prezentowanych na wystawie. Drugi, to wielkie płótno zatytułowane „Zachód słońca w lesie” z serii „Podróże na Naddnieprzańską Ukrainę”, namalowany tak realistycznie, że aż sprawia wrażenie trójwymiarowego. W 1905 roku krytyka uznała ten obraz za najlepszą pracę prezentowaną na Jesiennej Wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie.

Zaintrygowała mnie informacja, że Trusz był inicjatorem *Grupy sześciu*. Muszę przyznać, że nigdy o niej nie słyszałem. „Sosny o zachodzie słońca” pasowałyby natomiast znakomicie do obrazów kanadyjskiej *Group of Seven*, działającej w podobnym okresie w Ontario grupy młodych artystów, po studiach w Paryżu, pragnących stworzyć narodowy styl w malarstwie Kanady. Poświęcone im muzeum w Kleinburgu na północnych obrzeżach Toronto (*The McMichael Canadian Art Collection*) jest jedną z najsympatyczniejszych odwiedzanych przeze mnie galerii.

Iwan Trusz jest znany z wykonanych przez niego portretów wybitnych działaczy ukraińskich. Ich część, na polecenie komunistów, trafiła zresztą w latach pięćdziesiątych do pieców Biblioteki Naukowej Akademii Nauk Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Z wystawionych prac najbardziej podobały mi się portrety żony artysty Ariadny Drahomanowej, kuzynki Łesi Ukrainki i kobiety bardzo starannie wykształconej, m.in. na Sorbonie w Paryżu.

Po wystawie kupiliśmy katalog, z dosyć przyzwoitymi (ale dalekimi od perfekcyjnego oddania kolorów) reprodukcjami obrazów. Niestety tekst, jakkolwiek solidny, razi trochę sowieckim stylem. A może to tylko niezręczność w tłumaczeniu z ukraińskiego na polski?

Braque

Wystawa prac określanych jako dzieła Georgesa Braque'a nieco mnie rozczarowała. To w większości realizacje projektów słynnego artysty przez innych twórców, a w szczególności Hegera de Loewenfelda.

Ale nie w tym główny problem. Po prostu prace z ostatnich lat życia Braque'a (zmarł w 1963 roku) niezbyt mi się podobają. Podstawą prezentowanej w Sopocie kolekcji było ponad sto gwaszy artysty, na podstawie których wykonano rzeźby, ceramikę, gobeliny, czy biżuterię. Cztery z oryginalnych gwaszy można zresztą zobaczyć na wystawie. Trzeba przyznać, że stylistyka prac odniosła znaczący sukces, bo podobne przedmioty zalały eleganckie sklepy z pamiątkami, czy biżuterią w Europie i Stanach Zjednoczonych. Biżuterię i inne drobiazgi wykonane według pomysłów Braque'a można kupić i na sopockiej wystawie. Oczywiście, poza krawatami czy apaszką, są to rzeczy, jak na przeciętne kieszenie, bardzo drogie. Prezentowana na wystawie biżuteria artystyczna niezbyt nadaje się, poza małymi wyjątkami, do noszenia — jest po prostu zbyt delikatna, a czasami zbyt ciężka. To i tak nic w porównaniu z jednostkowymi dziełami sztuki jubilerskiej projektowanymi przez Salvatora Dali, które widzieliśmy w jego muzeum w katalońskim Figueras. Tam wiele brosz wykonanych z cennych materiałów miało ruchome części poruszane mikrosilnikami.

A propos Braque'a, to pamiętam jakie wrażenie zrobiła na mnie jego kubistyczna grafika, którą zobaczyłem w latach osiemdziesiątych na kuchennej ścianie w eleganckim mieszkaniu wziętego genewskiego architekta. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że prace artystów tej rangi można zobaczyć jedynie w muzeach.

Bąkowski

Na najwyższej kondygnacji galerii wystawa kilku prac urodzonego w 1979 roku w Poznaniu i absolwenta tamtejszego ASP Wojciecha Bąkowskiego, pod wspólnym tytułem „Brak dostępu promieniuje”. Już gdy na parterze kupujemy bilety, pracowniczka galerii na pytanie o tę wystawę mówi wyraźnie lekceważącym tonem: „a, jest i jakaś instalacja”. Rzeczywistość jest jednak dużo ciekawsza — instalacji jest kilka i nie wydają się całkiem banalne. Na środku sali stoi dobrze zaciemniony pokój, w którego wnętrzu słychać wychodzące ze ścian i sufitu intrygujące szmery i stuki, trochę przypominające głosy wywołane przez biegające szczury. To oczywiście praca nie do strawienia dla wszystkich. Zabawnie wygląda starsza pani, która najpierw boi się wejść do ciemnego środka, a w końcu przekonana przez pracownicę galerii, zagłębia się tylko nieznacznie, kurczowo trzymając się ręką za krawędź ściany przy wejściu. Kolejna instalacja też zdecydowanie nie nadaje się dla osób cierpiących na klaustrofobię. To niska budka z jednym krzesłem w środku postawionym naprzeciw ekranu, na którym odbywa się projekcja czarno-białego filmu animowanego pt. „Film Mówiony 6”. Słowa początkowe filmu o tym, że „mdleję, gdy pobierają mi krew” ilustrowane cieknącą, gęstą cieczą, i mnie zdecydowanie zniechęcają do oglądania całości.

Instalacja, która dała tytuł całej wystawie, to jakby szkielet wąskiego i wysokiego stożkowatego namiotu z umieszczonymi na górze głośnikami wydającymi dziwne dźwięki. Muszę przyznać, że jakkolwiek podobne instalacje to często znakomite pole dla artystycznej hochsztaplerki, prace Bąkowskiego wydają się być autentyczne, oryginalne i pobudzające do myślenia.

To pierwsza nasza wizyta w galerii mieszczącej się w stosunkowo niedawno oddanym do użytku sopockim centrum Haffnera. Same budynki centrum są w nie najlepszym guście, z jednej strony historyzujące, a z drugiej nadużywające tandetnych plastikowych elementów. Ale w ten sposób tandetne jest też całe nasze turystyczne wybrzeże. Na plus galerii można zaliczyć jej centralne ulokowanie, co powinno zachęcić potencjalnych odwiedzających (skutek jest co prawda umiarkowany — mimo, że na zewnątrz kłębią się gęste tłumy turystów, na trzech wystawach spotykamy jeszcze tylko dwie oglądające je osoby). Chwali się też długi czas otwarcia (do 22:00), co nie jest częste w polskich galeriach sztuki. Przywoita jest również powierzchnia ekspozycyjna. Najślabszym punktem jest odstręczający długi i wąski hol wejściowy. Nie podobały mi też pretensjonalne, czarno-białe sufity na pierwszym piętrze. Nie mam jednak pewności, czy to był stały element galerii, czy raczej tylko składnik aranżacji wystawy Braque'a. Zwiedzania nie ułatwia rozmieszczenie galerii na trzech kondygnacjach, ale trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę koszt i dostępność terenów w tym miejscu Sopotu. Doświadczenie, choćby *San Francisco Museum of Modern Art* uczy, że gdy jest dobra zawartość, wiele pięter nie stanowi zasadniczej przeszkody.

Gdynia, 23 sierpnia 2011